



SPALIC'
WIEDZMĘ

Magdalena Kubasiewicz

Magdalena Kubasiewicz "Spalić wiedźmę" - fragment

MAT

Rozdział pierwszy

Wiele Pieśni

- Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszu piknikowym...

Król nie dał po sobie poznać, że usłyszał te słowa. Wciąż udawał uprzejmie zainteresowanie przemową wojewody pomorskiego, lecz jednocześnie ukradkiem zerkał w prawo, skąd dobiegał głos. Nie mógł jednak ustalić, kto wypowiedział słowa, które czystym przypadkiem przedarły się przez gwar, by dotrzeć do królewskich uszu.

Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszu piknikowym.

- ...syreny zanadto się rozzuchwały - kontynuował Marcin Kasztelan, wymachując przy tym pulchnymi, serdelkowatymi dłońmi. Nalana twarz wojewody, nosząca ślady długoletniego pijaństwa, wzbudzała w ceniącym piękno Julianie Łukomskim wstręt. Po raz kolejny zastanowił się ponuro, co takiego sprawiło, że ludność województwa pomorskiego wybrała właśnie Kasztelana na swojego reprezentanta, oraz po jaką cholereę po wojnie jego własny pradziadek umyślił sobie podążenie za amerykańskimi wzorcami poprzez częściową demokratyzację królestwa.

- Czy wasza wysokość imaginuje sobie, że chcą praw obywatelskich? Praw obywatelskich! Przecież to ryby. A dzieci i ryby głosu nie mają!

- Istoty humanoidalne - sprostował łagodnie Julian. - Przypominam, że w myśl ustawy z 1946 roku wszelkie stworzenia humanoidalne zdolne do porozumiewania się mają zagwarantowaną nietykalność osobistą oraz ograniczone swobody obywatelskie.

Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszu piknikowym.

Twarz Marcina poczerwieniała i król z irytacją pomyślał, że wojewoda wygląda, jakby miał dostać ataku apopleksji. I dobrze, uznał nagle. Trafiłby go szlag i wreszcie byłby święty spokój.

- Niszczą sieci! - krzyknął z oburzeniem Kasztelan. - Nie trzymają się terenu rezerwatu, kilka z nich widziano w pobliżu plaż!

Wąskie usta Juliana wygięły się w wymuszonym uśmiechu, ale z brązowych oczu wciąż wзираła niechęć. Niechęć, której Marcin wyraźnie nie dostrzegał. Powody wyniesienia go za ledwie przed miesiącem na intratne stanowisko tak naprawdę były dla króla jasne. Nienawiść wobec wszelkich nieładzi, żywioną przez Kasztelana, podzielało - jak wynikało z ostatniego raportu - ponad dwadzieścia procent społeczeństwa. W województwie pomorskim ten odsetek sięgał trzydziestu siedmiu procent, a dalsze dziesięć procent ludności deklarowało wprawdzie umiarkowaną sympatię wobec magicznej menażerii, ale zaznaczało, że zbyt wiele uwagi i pieniędzy poświęca się ich problemom. Doskonały elektorat dla tego odrażającego człowieka.

- Rezerwat jest ich domem, nie więzieniem. Nie mają zakazu jego opuszczania - spróbował po raz ostatni, nie licząc jednak na to, że do Marcina cokolwiek dotrze.

- Najwyższa pora to zmienić! - oznajmił z przekonaniem wojewoda. - To jedno z ważniejszych zadań, jakie stawiam przed sobą w czasie mojej pierwszej kadencji...

- Pan wybaczy - uciął stanowczo Julian, dochodząc do wniosku, że nie zniesie dłużej zarówno patrzenia na wojewodę, jak i wysłuchiwanie jego płomiennej przemowy. Porwał szklanekę z tacy przyniesionej przez drobną, ciemnowłosą dziewczynę, której widok natychmiast jeszcze bardziej zwarzył królewski humor. Przypomniała bowiem inną pannę, o równie ciemnych włosach, której na sali balowej brakowało, choć życzył sobie jej obecności - było zaś powszechnie wiadomo, że życzenia i sugestie władcy więcej wspólnego mają z rozkazami.

Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszyku.

- ...czytałam w „Fakcie Codziennym”, że mają romans, ale trudno mi w to uwierzyć, przecież on zawsze wszystko wybiera w najlepszym guście, a ona... - Kobieta w średnim wieku, o fantazyjnie upiętych, jasnych włosach, umilkła, widząc gorączkowe znaki czynione przez rozmówczynię. Obejrzała się i zarumieniła na widok przechodzącego króla. Julian obdarzył ją zimnym uśmiechem, nim przemknął dalej. Oczywiście, nie mógł długo cieszyć się spokojem. Po kilku sekundach przy jego boku zmaterializował się Kacper Czartoryski, wiodąc ze sobą wiotką kobietę w bieli, o ogromnych, niebieskich oczach. Julian lubił Kacpra, jednego ze swoich najstarszych przyjaciół - o ile oczywiście król mógł w ogóle mówić o posiadaniu przyjaciół.

- Królu. - Kacper skłonił głowę, na jego lisiej, piegowatej twarzy pojawił się chytry uśmiech. Prywatnie zwracał się do władcy po imieniu, przy takich okazjach jak ta stosował kompromis, zwąc Juliana „królem”, ale nie „waszą wysokością”. Brzmiało to bardziej jak pseudonim niż tytuł. - Wspaniałe przyjęcie, doprawdy wspaniałe. Pozwolę sobie osobiście pogratulować i życzyć wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, wcześniej nie było ku temu okazji. Prezent, oczywiście, znajduje się tam, gdzie inne.

- Nie wątpię, że wybije się na ich tle - mruknął zgryźliwie Julian, pamiętając doskonale ostatni dar od przyjaciela: dmuchaną lalkę. Jediną osobą oprócz Kacpra, która mogłaby się poważić na ofiarowanie królowi czegoś takiego, wiedząc, że nie grożą jej żadne konsekwencje, była Pierwsza Czarownica. Nieobecna Pierwsza Czarownica, Niech Ją Jasny Szlag Trafi.

- Nie przedstawiś mnie swojej uroczej towarzysze?

- Lidia Skibińska, dziekan Wydziału Magicznego Uniwersytetu Warszawskiego. To prawdziwy zaszczyt móc się tutaj znaleźć - przedstawiła się kobieta, podając władcy dłoń. Julian ucałował czubki opalonych palców, jednocześnie rzucając przyjacielowi szybkie spojrzenie, na co Kacper wzruszył lekko ramionami. Król do tej pory znał Lidie Skibińską jedynie z opowieści i paru zdjęć w gazetach, którym jednak nie poświęcał tyle uwagi, by od razu ją rozpoznać. Wiedział, że pochodzi z bogatej rodziny o magicznych tradycjach, że jej ojciec zasiadał w Łoży Magów Polanii, jednocześnie pełniąc ważną funkcję w europejskim Konwencie Magii. Wiedział także, że została najmłodszym dziekanem w historii oraz że ona i jego nadworna czarownica nienawidziły się jak wściekłe psy. Po raz pierwszy pomyślał, że nieobecność Sary Weroniki Sokolskiej na dzisiejszym przyjęciu jest jednak prawdziwym błogosławieństwem. Gdyby te dwie wzięły się za łby, do czego doszłoby niechybnie, zamek zdrząłby w posadach.

- Doprawdy, Kacprze, musimy koniecznie jutro pogawędzić w cztery oczy, chciałbym wiedzieć, jak poznałeś tak niezwykłą damę - stwierdził, ale uprzejmy ton nie współgrał ze spojrzeniem. Kacper z pewnością rozszyfrował ukryte przesłanie, zdając sobie sprawę z tego, że ta wypowiedź w ustach Juliana znaczyła tyle, co „wytlumaczysz mi, do cholery, dlaczego postanowiłeś zamienić przyjęcie w Armagedon i zrujnować moją salę balową?”.

- Oczywiście, panie - odparł radośnie Czartoryski, a król westchnął w duchu. Choć Kacper dobiegał trzydziestki, czasami wciąż zachowywał się jak psotny chłopiec, znajdujący niezwykłą przyjemność w sianiu zamętu.

- Miałam nadzieję, że spotkam tutaj starą przyjaciółkę - wtrąciła Lidia, uśmiechając się przepięknie.

- Pierwszą Czarownicę. Nie widziałyśmy się całe dwa lata.

- Sarę, niestety, zatrzymały pilne obowiązki. Ubolewam, że nie może świętować z nami. Przekażę, że pytała pani o nią.

- Oczywiście. Zdaję sobie sprawę z tego, że Sara piastuje niezwykle odpowiedzialne stanowisko. Ja wiem i ty wiesz, że te pilne obowiązki wiążą się pewnie z włączeniem po podłych knajpach albo leczeniem kaca, mówiły oczy Lidii, bardzo niebieskie, bardzo duże i bardzo, bardzo zimne. A może Julianowi tylko tak się zdawało i nic nie kryło się w błękitnych tęczęwkach, żadna przygana, żadne niewypowiedziane słowa. Nieoczekiwanie dla samego siebie poczuł jednak wstyd za tę postrzeloną wiedźmę, za krążące wokół niej plotki, za artykuł w „Fakcie Codziennym” o ich domniemanym romansie, za pogłoski, że nie potrafi zapanować nad swą nadworną czarownicą, za posądzenia, że źle dokonał wyboru, kierując się prywatą, nie kwalifikacjami. Wreszcie za dzisiejsze upokorzenie, jakim

była nieobecność Sary, niewypełnienie królewskiego nakazu. Może faktycznie nie potrafił zapanować nad kimś, kto powinien mu służyć. Nawet przed samym sobą nie umiał przyznać, że tutaj nie było żadnego może i egoistycznej, lecz potężnej czarownicy nikt nie nagnie do swojej woli.

- Wręczyła ci już prezent, panie? Słyszałem, że pani Sokolska ma intrygujące zwyczaje, jeśli idzie o podarunki. Ponoć Tomasz dostał od niej odciętą głowę? - kontynuował Kacper. Ty przebiegły lisie, złościł się w duchu Julian. Poczekaj aż złapię cię samego, wtedy inaczej będziesz śpiewać.

Wszystko w Kacprze było lisie i rudawe. Puszyste włosy, oczy w kolorze bursztynu, wąska twarz i charakter, którego główną cechą był spryt, tradycyjnie przypisywany tym zwierzętom. Potrafił każdego wyprowadzić w pole, intrygi miał we krwi, a choć Julian darzył go sympatią, wiedział, że nie można mu ufać. Czasem sądził, że Czartoryskiemu brak tylko rudej kity.

- Plotki - odparł chłodno, choć dobrze wiedział, że w tej akurat opowieści leżało nie tylko ziarnko prawdy, lecz cała jej miarka. Sara rzeczywiście posłała Tomaszowi Niepołomicowi odciętą głowę, twarz ofiary naprawdę była spalona, a niezwykle dar umieszczony w koszu piknikowym. Głowa należała jednak do kobiety, która zabiła siostrę pana Tomasza. Pierwsza Czarownica powinna była dyskretnie doprowadzić całą sprawę do końca, lecz potraktowała zbyt dosłownie żądanie postawione przez Niepołomica.

- Nasza Sara jest tematem wielu plotek - powiedziała Lidia konfidencjonalnym szeptem. Z tymi jasnymi lokami i błękitnymi, ogromnymi oczyma wyglądała niczym anielica z obrazka, lecz Julian był doskonale świadom, że czarodziejkom i czarownicom również nie należy ufać. Nieważne, jak niewinnie się prezentują. - Samorodny talent, doprawdy. Pomyśleć, że nigdy nie zdobyła dyplomu. I nikomu nie zdradziła, kto uczył ją podstaw magii.

Król, od najmłodszych lat uczony skomplikowanych kroków dworskiego tańca, bez trudu odgadł, że prawdziwe znaczenie wypowiedzianych słów również tym razem jest zupełnie inne, niż mogłoby się здаwać. Dyplom Wydziału Magii, najlepiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, Warszawskiego, Lwowskiego lub ewentualnie jakiejś zagranicznej, cenionej uczelni, stanowił oznakę prestiżu i warunek konieczny, aby dołączyć do magicznej elity Polanii. Lidia pod płaszczykiem pochwały subtelnie przypominała, że Pierwsza Czarownica, sprawująca najwyższe państwowe stanowisko dostępne władającym magią, nie posiada należytego wykształcenia.

Sam Julian nie wiedział, jak Sara zdołała osiągnąć taki poziom, nigdy nie uczęszczając do szkół. W młodości musiała być szkolona przez jakiegoś mistrza, lecz szybko zakończyła naukę. Pojawiła się w Krakowie nie mając dwudziestu lat i już wtedy (przynajmniej tak sądził) nie czyniła żadnych kroków, by doskonalić swoje umiejętności. Jej magia, jak i ona sama, pozostawała na wpół dzika. Czarownica nie znała bądź nie używała wielu typowych czarów, lecz mało kto odważyłby się stawić jej czoła w bezpośrednim starciu.

- Tak, ludzie uwielbiają powtarzać niestworzone opowieści. Rok albo dwa temu słyszałem coś o pojedynku na Baraniej Górze? A może to było gdzieś w Pieninach?

Lidia nie zdołała powstrzymać grymasu. Kacper ukradkiem uniósł kciuk, gratulując przyjacielowi zwycięstwa w tej potyczce.

- Zechciejcie wybaczyć, pora rozpocząć tańce - przeprosił Julian. Partnerka do pierwszego walca została oczywiście wybrana już wcześniej i była nią Małgorzata Warchocka, która w ostatnim numerze „Na Topie” została wymieniona jako jedna z dziesięciu najbardziej prawdopodobnych kandydatek na królową, zajmując na liście zaszczytne, drugie miejsce. Władca powoli i nieubлагanie zbliżał się do trzydziestki, a co za tym idzie coraz częściej pojawiały się spekulacje na temat jego domniemanego ożenku.

Małgosia była tylko o rok starsza, doskonale urodzona, wykształcona, zamożna, a dzięki fortunie wydawanej na stylistów, dietetyków, fryzjerów, kosmetyczki i mikstury upiększające, prezentowała się może nie pięknie, ale bardzo elegancko. Wprawdzie nogi miała trochę krzywe, a nos wyjątkowo zadarty, lecz oczy śliczne, ocienione długimi rzęsami, włosy zaś naturalnie rude, lśniące i gęste. Cóż z tego, skoro takie z niej pokorne, głupiutkie ciele? - myślał Julian, kłaniając się przed kobietą. W tych ładnych oczach nigdy nie dostrzegł nawet śladu inteligencji, dyplom musiała sobie chyba kupić. Nie posiadała własnego zdania na żaden temat, co pozornie czyniło ją idealną kandydatką na

małżonkę, lecz Juliana doprowadzało to do szału.

- Panie? - spytała Małgorzata nieśmiało, dostrzegając grymas na królewskiej twarzy. Julian natychmiast się zmytygował i uśmiechnął. Złość wzięła się z wspomnienia dziesiątej kandydatki na liście, jeszcze mniej prawdopodobnej od Małgorzaty i jeszcze bardziej niż ona doprowadzającej go do szału. Powszechnie wiadomo, że jego królewska mość wiele czasu spędza w towarzystwie Sary Weroniki Sokolskiej, a jak donosi dobrze poinformowane źródło, łatwo dostrzec zażyłość pomiędzy tą dwójką, pisała dziennikarka „Na Topie” pod niewyraźnym zdjęciem Sary. Z Pierwszą Czarownicą Polanii wiąże się wiele kontrowersji. Gdy po śmierci Jeremiego Lachowicza, poprzedniego nadwornego maga, została wybrana na to stanowisko, królewska decyzja wzbudziła znaczące wzburzenie...

Sanika śmiała się, czytając na głos ten artykuł, następnie zażądała pierścionka z odpowiednio dużym brylantem, by wreszcie kazać mu „prześcić się nadymać”. Julian rzeczywiście siedział ze skwaszoną miną, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, gotów żenić się choćby natychmiast z pierwszą lepszą dziewczyną z ulicy, byleby wreszcie cały kraj przestał śledzić jego poczynania matrymonialne. Insynuacje na temat związku z Sarą towarzyszyły mu, odkąd skończył siedemnaście lat choć niewiele było w nich prawdy. Zawsze była dla niego kimś w rodzaju szalonej starszej siostry - czego oczywiście nigdy nie powiedziałby nikomu, a już na pewno nie jej.

Dziesięciocentymetrowy obcas, sprawiający, że Małgorzata była tylko dwa centymetry niższa od Juliana, wbił się w królewską stopę. Kobieta splonęła się, na chwilę zgubiła rytm, ale władca prowadził pewnie, udając, że nic się nie zdarzyło. W lustrach, które przed paru laty umieszczono na jednej ze ścian, co jakiś czas migwały ich odbicia pomiędzy sylwetkami innych gości. Małgosia w długiej, zielonej sukience, maskującej nogi, główny mankament jej urody, za to eksponującej imponujący dekolt i podkreślającej kolor oczu. Rude włosy miała ułożone w misterną fryzurę. Julian był mężczyzną raczej eleganckim i niebrzydkiem niż przystojnym w konwencjonalnym stylu, wyglądał jednak dobrze: wysoki, dystyngowany, z brązowymi, gładko zaczesanymi włosami, teraz przyodziany w doskonale skrojony garnitur. Jednak jako para nie prezentowali się olśniewająco. Wiedział, że jeśli zdecyduje się spotykać z Małgorzatą, szybko zostaną okrzyknięci najpiękniejszą parą Polanii, chociaż gdyby ubrać ich zwyczajnie i pozbawić wszelkich tytułów, nikomu nie wpadłoby do głowy piąć zachwyty nad ich domniemaną urodą.

Na parkiet wchodziły kolejne pary. Julianowi mignął książę Nikolas z Avenburgu, którego przybycie wywołało prawdziwe zdumienie, ponieważ niezmiernie rzadko opuszczał swą wyspę. Następnie pojawiła się pani premier Republiki Federacyjnej Niemiec z mężem, a potem Uwe Holtz, zastępca przewodniczącego Konwentu Magii. Królewskie urodziny zebrały ładną gromadkę znakomitości, w związku z czym po sali kręciła się zdumiewająca liczba ochroniarzy. Tym bardziej powinna więc tu być także osoba odpowiedzialna za magiczne osłony zamku.

Julian zazgrzytał zębami ze złości. Sanika, do jasnej cholery. Gdzie ty się podziewasz, przeklęta wiedźmo?

*

Tadeusz Rosiński skończył pracę o siedemnastej, ale - jak prawie codziennie od trzydziestu lat - został do osiemnastej trzydzieści, spędzając półtorej godziny w archiwach. Gdy zamykał drzwi na klucz, zegarek o podrapanej tarczy wskazywał równo osiemnastą trzydzieści jeden. Mógł temu wierzyć, ponieważ nosił ten zegarek od trzydziestu lat i bardzo dobrze wiedział, że nie spóźnia się on ani o sekundę.

Jeszcze przed piętnastu laty Tadeusz miał zwyczaj zbiegać po schodach, żegnać się ze strażnikiem, a później energicznym krokiem przemierzać ulicę, aby o osiemnastej czterdzieści pięć usiąść przy stoliku w kameralnej restauracyjce U Pandory, oferującej smakowite obiady w - jak na Kraków - bardzo przyzwoitych cenach. A nawet z niemałą zniżką dla starego znajomego właścicielki. Teraz jednak kroki historyka nie były tak zwawe jak niegdyś, pokonywał więc stopnie powoli, trzymając się poręczy. Niedawno postanowił, że na siedemdziesiąte urodziny kupi sobie laskę z porządnego,

lakierowanego drewna, zakończoną wygodną rączką. Wiek zaczynał dawać się mu we znaki, a noga, która przed paru laty ucierpiała w wypadku i została cudownie ocalona przez uzdrowiciela, w deszczowe dni – takie jak dziś – pulsowała tęnym bólem. Tak, laska była koniecznością.

Nie pożegnał tym razem strażnika, ten bowiem przed siedmiu laty odszedł na emeryturę i został zastąpiony łysym, rośłym młodzieńcem, którego Tadeusz mijał, milcząc wyniośle. Następnie szedł ulicą, również nie tak szybko jak kiedyś, więc do restauracji docierał zazwyczaj przed siódmą wieczorem. Tego dnia ból dokuczał mu jednak bardziej niż zwykle. Poza tym musiał walczyć z parasolką i omijać kałuże. Na miejsce dotarł więc równo o dziewiętnastej. To opóźnienie zirytowało starego historyka, a jeszcze bardziej zdenerwował się, widząc, że jego ulubiony stolik jest już zajęty przez grupkę rozchichotanych nastolatek w stanowczo zbyt krótkich spódniczkach.

Za jego czasów dziewczęta nie śmiały się w tak głupi sposób. Przynajmniej tak mu się wydawało, ponieważ nigdy nie zwracał specjalnej uwagi na istoty płci żeńskiej, chyba że były królowymi, księżniczkami bądź czarodziejkami opisywanymi na kartach ksiąg historycznych.

Niechętnie zajął inne miejsce, rzucając nastolatkom krzywe spojrzenie. Jak zwykle zamówił kawę, a do tego, jak zawsze w sobotę, omlet i ciasto porzeczkowe na deser. Kelnerka była nowa, miała na głowie burzę farbowanych loków, a oczy wymalowane zgodnie z ostatnią modą: jeden kolor cienia na powiekach, drugi, jaśniejszy, ponad nimi, aż do brwi, i trzeci, odchodzący od kącików oczu ku skroniom. Tadeusz oczywiście nie wiedział, że to najnowsza moda, która przywędrowała z Francji, i że osobą, która ją wprowadziła, była Evangelina, znana czarodziejka i projektantka. Po prostu uznał, że twarz kelnerki przypomina malarską paletę.

- Trwa przyjęcie, zorganizowane z okazji dwudziestych piątych urodzin jego królewskiej mości Juliana Ksawerego Łukomskiego. Na zamek przybyły osobistości ze świata polityki, finansów oraz magii Polanii. Nie zabrakło także gwiazd takich jak piękna Kamila Arlecka, jedyna polska aktorka, która zdobyła Oscara. Swoją obecnością uroczystość zaszczyliło również kilku gości z zagranicy. Wielkim zaskoczeniem było pojawienie się księcia Nikolasa z Avenburga, który wyjątkowo rzadko opuszcza rodzinną wyspę...

Miejsce zajęte z konieczności przez Tadeusza znajdowało się na wprost płaskiego ekranu wprawionego w ścianę. Miał więc doskonały widok na blond dziennikarkę, komentującą obchody królewskich urodzin, i gości, którzy za jej plecami wysiadali z limuzyn. Na sam zamek prasy nie wpuszczono.

Historyk niewiele jednak uwagi poświęcił relacji z uroczystości. Jego myśli zaprzętała rozprawa na temat potopu szwedzkiego i roli, którą podczas obrony Krakowa odegrał Smok Wawelski. Tadeusz miał zamiar postawić śmiałą tezę, że gdyby nie Smok, miasto mogłoby zostać zrujnowane, a nawet zdobyte. Pochłonięty tworzeniem planu rozprawy, zamarudził i wyszedł z restauracji trochę później niż zwykle, bo o dziewiętnastej trzydzieści siedem. Niestety, wciąż padało, a od przystanku dzieliło go piętnaście minut spaceru. Z nagłym smutkiem przypomniał sobie, że nie tak dawno temu na pokonanie tej samej drogi potrzebował dwa razy mniej czasu. Starzał się. Przeszedł trzy poważne choroby i operację. Nie przeżyłby, gdyby nie opłacał wyższej składki ubezpieczeniowej, gwarantującej pomoc magiczną, jeśli zawiedzie konwencjonalna medycyna.

O ósmej wieczorem wsiadł do tramwaju i wysiadł po dwudziestu sześciu minutach. Niebo na wschodzie już pomału ciemniało, a na zachodzie pokrywało się delikatnym różem. Sklep spożywczy znajdował się tuż koło przystanku. Tadeusz, jak co dzień, kupił złocistą bułeczkę na jutrzejsze śniadanie, butelkę wody mineralnej i kawałek sera. Kiedy zbliżał się do kamienicy, w której mieszkał, stary zegarek wskazywał za trzy dziewiątą. Noga pulsowała bólem i istniała realna groźba, że pokonanie schodów zajmie więcej niż trzy minuty, a więc Tadeusz spóźni się na swój ulubiony film dokumentalny. Oglądał go w każdą sobotę przed położeniem się spać. Niedziela, jedyny dzień, gdy nie chodził do pracy, przeznaczona była na pisanie oraz, jeśli pogoda dopisywała, na spacer po parku.

Tego dnia słońce zaszło o dwudziestą pięćdziesiąt. Niebo było już ciemne, w mieście zapalały się latarnie, zaniedbane podwórko kamienicy tonęło jednak w ciemnościach. Zdyszany Tadeusz musiał oprzeć się na chwilę o mur – i w tym samym momencie czyjeś ręce szarpnęły go w tył, a na głowę

zarzucono mu worek. Zbyt zaskoczony, aby podjąć próbę obrony, oprzytomniał tuż po tym, jak napastnik uniósł go i cisnął na coś twardego. Ból w obitym, chorym biodrze otrzeźwił historyka. Tadeusz wrzasnął głośno. Jednak gruby materiał stłumił krzyk, a po sekundzie rozległ się trzask zamykanej kłapy bagażnika.

*

Klub nie różnił się od innych tego typu przybytków w mieście, ożywających dopiero po zmroku, zadymionych, tłocznych, pełnych cieni i kolorowych, szybko migających świateł. Jak w każdą sobotę koło dwudziestej drugiej zajęto wszystkie miejsca siedzące, na okrągłych, odrapanych blatach stały kufle piwa i drinki, a na parkiecie poruszali się młodzi ludzie. Błyskały reflektory, a sylwetki znikwały w ciemności, by zaraz pojawić się na moment w barwnych plamach, i przez to nawet ruchy najbardziej niezgrabnych tancerzy zdawały się mniej niezdarne, pasujące do dudniącego rytmu. Głód...

Ściany i podłoga wibrowały. Ktoś skaczący po parkiecie wypuścił trzymany w ręku kufel piwa. Piana i odłamki szkła rozprysły się na wszystkie strony. Trzy dziewczęta, tańczące w kółku, potrząsały jasnymi włosami. Obok ręce jakiegoś studenta błędziły po ciele partnerki, tym śmieiej, im większy był wokół tłok. Dwie dziewczyny, mimo mocnego makijażu wyglądające na niepełnoletnie, wdrapały się na stolik. Szybko przyciągnęły uwagę siedzących w pobliżu – jedna długimi, opalonymi nogami, spódnicą ledwo okrywającą pośladki, grzywą rudych włosów i dekoltem, druga, niższa i blada, ubrana w skórzaną kurtkę, choć nie tak urodziwa, ruchami, które nie wymagały błyskających świateł, by wydawały się zmysłowe.

Głód, głód, jeść, takie świeże, żywe, jeść.

Pracownik utorował sobie drogę w tłumie, szybko usunął pokruszone szkło i wytarł rozlane piwo. Przedarł się także w kierunku dwóch tancerek i stanowczo machnął ręką, ale wysokie obcasy rudej nie przestały rysować blatu. Była zbyt pijana, aby przejmować się czymkolwiek. Druga jednak posłusznie zsunęła się ze stołu, wpadając prosto w czyjeś ramiona. Ktoś ją pochwycił i uniósł, zanim jej nogi zdążyły dotknąć ziemi. Odrzuciła głowę w tył, muzyka zagłuszyła jej śmiech. Pracownik pociągnął wciąż tańczącą rudowłosą za opaloną dłoń. Mężczyzna siedzący przy stoliku obok, może partner dziewczyny, a może tylko ktoś, kto wypił jedno piwo za dużo, poderwał się, rzucił do przodu z uniesionymi pięściami.

Żywe, żywe, płonie, błyszczący, tak błyszczący, jeść.

Zakotłowało się, ruda spadła z przewróconego stołu, ktoś kogoś popchnął, za co natychmiast oberwał, stojący bliżej zaczęli przepychać się do wyjścia, przy stolikach rozpętała się bijatyka. W klubie zapanował chaos, wezwani ochroniarze próbowali przedrzeć się przez tłum. Dwóch chłopców skorzystało z zamieszania i porwał nieopłacone piwa.

Drobna dziewczyna, wcześniej tańcząca na blacie, wbiegła na schody prowadzące do wyjścia jako jedna z pierwszych, ciągnąc za rękę mężczyznę, który ją złapał, gdy zeskakiwała ze stołu. Krótkie ciemne włosy lepiły się jej od potu. Ostry makijaż, fioletowe i czarne spirale pokrywające niemal całą twarz, nie mogły ukryć wyraźnych sińców pod fioletowymi oczami. Mężczyzna wyglądał na starszego o przynajmniej dziesięć lat, był rośli, ciemnooki, miał brązową skórę, poznaczoną tatuażami.

Jeść.

Na zewnątrz wypadło parę osób, kilka zostało przy schodach, czekając na koniec zamieszania. Siąpił deszcz, a noc była ciepła. W uszach, przez ostatnie godziny wydanych na pastwę decybeli, dzwoniła cisza, oczy zmęczone migającymi światłami mrugały raz za razem.

Mężczyzna przycisnął do siebie tancerkę, pocałował, a ta w odpowiedzi entuzjastycznie zarzuciła mu ręce na szyję. Pachniała piwem, potem i nocnym wiatrem. Jej blada skóra odcinała się od jego ciemnej latynoskiej cery.

- Jak masz na imię? - spytał. Usta błędziły po szyi, sięgały ucha.

- Jak zechcesz - rzuciła, pozwoliła pociągnąć się rzęsiście oświetloną ulicą, a potem gdzieś w prawo, w jedną z bocznych uliczek, o tej porze niemal już nieuczęszczanych. Biegiem, dalej od ludzi, od

jaskrawych światłał.

Żywe, jasne, płonie, daj, daj, jeść, tyle życia.

- Jak masz na imię? - powtórzył, gdy zatrzymali się w jakiejś bramie, gdzie cień był głębszy i blade światło lamp nie rozpraszało ciemności. Jego ręce sięgnęły do kurtki, na chwilę odsunęli się od siebie i...

...ciemnobrązowe oczy, które przez chwilę w półmroku wydawały się czarne, rozwarły się szerzej. Dziewczyna wyciągnęła nóż, z poderżniętego gardła popłynęła krew. Popchnęła mężczyznę, oboje upadli na mokry bruk, a ostrze znów zagłębiło się w ciele. Tym razem cięła głęboko przez pierś. Usadowiła się wygodniej, okrakiem na brzuchu Latynosa, i zagłębiła palce w ranę.

- Miła zabawa?

Wszystkie pobliskie światła zgasły, zaulek spowił mrok. Dziewczyna znieruchomiała z prawą ręką wciśniętą w pierś trupa. Po chwili zerknęła przez ramię za siebie. Gdy odszukała wzrokiem jeszcze jeden cień, postać od stóp do głów odzianą w czerni, powoli opuściła lewą dłoń. Nóż, gotów do rzucenia, upadł na bruk, przysła woda. Ciemne loki mężczyzny nasiąkały deszczówką z kałuży, krew spływała mu po szyi i piersi.

- Wiele Pieśni. Miła zabawa, niemiła niespodzianka.

Znów się pochyliła, paznokcie szarpały mięśnie, po palcach skakały błękitne iskierki, gdy pomagała sobie magią. Zaciśnęła szczupłą dłoń na sercu, drugą ręką sięgnęła po nóż. Wiele Pieśni wciąż trwała w bezruchu, w ciemności pod wygasłą latarnią, a w mroku błyskały tylko przekrwione oczy, jedyny element ciała nieprzysłonięty chustami i szalami.

- Posuwasz się trochę za daleko - skarciła dziewczynę, gdy ta wreszcie osiągnęła swój cel i wyprostowała się, z okrwawionym kawałkiem ciała w ręku. Posoka spłynęła jej wzdłuż błękitnych żyłek na nadgarstku, w dół, zaczęła się zbierać w zagłębieniu łokcia.

- Mam licencję na zabijanie - odparła beztrąsko. Wyrwane serce pulsowało w zaciśniętych palcach i kobiecie przyszedł na myśl trzepot ptaka, próbującego zerwać się do lotu. - I nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

Wstała, z kieszeni kurtki wyciągnęła srebrną zapalniczkę pokrytą pajęczynką cienkich, szafirowych linii. Błękitna iskra zapłonęła, odbiła się w fioletowych oczach, przytknięta do serca szybko wybuchła niebieskim płomieniem. Znaki na zapalniczce zabłysły, ogień przesączał się między okrwawionymi palcami, nadawał bladej skórze kobiety chorobliwy, siny odcień, pochłaniał serce, które kurczyło się i rozszerzało, płonąć. W końcu na bruk spadł niebieski popiół, bezwładne ciało zaczęło się rozsypywać, aż na ziemi został wyłącznie piasek i plamy krwi. Do rana zmyje je deszcz, zostanie tylko parę rdzawych śladów, na które nikt nie zwróci uwagi.

- Przynieście mi jej serce - zanuciła Wiele Pieśni, a dziewczyna drgnęła, odwróciła się ku niej. - Przynieście mi wycięte płuca. Czy teraz ze mną porozmawiasz, Saro?

- Czego chcesz? - Otworzyła dłoń wypełnioną krwią i szaroniebieskim pyłem. Czerwone plamy, czarny, rozmazany tusz i nienaruszone spirale wokół oczu, maskujące aureę, czyniły ją podobną do koszarnej zjawy. - Nie przestanę ich zabijać.

- My też zasługujemy na prawo i sprawiedliwy osąd.

- Ludzkie prawa bywają zbyt łagodne nawet dla ludzi - parsknęła Sara. - Nie, Wiele Pieśni, ulicami mojego miasta nie będzie chodził inkub, który w ciągu miesiąca wpędził w śpiączkę trzy kobiety.

- Spóźniłaś się. Może jego śmierć przywróci przytomność ostatniej, ale dwóm poprzednim już nie pomoże. Zawsze się spóźniasz, Saro Weroniko Sokolska.

- Nigdy się nie spóźniam. Jestem tam, gdzie chcę i kiedy chcę. Moim zadaniem nie jest ratować, ale strzec spokoju.

- A gdyby to był człowiek? Co wtedy byś zrobiła? - spytała Wiele Pieśni.

- Od łapania ludzi mamy policję - odparła Sara beztrąsko i odgarnęła z twarzy przemoczone włosy, zostawiając na policzku rdzawą smugę, od wargi aż do ucha. - Ale gdyby wpadł mi w ręce, zabiłabym go i podpaliła ciało, bo Julian już zbyt wiele pieniędzy z podatków przeznacza na utrzymanie więzień, a wyroki sądów są śmieszne.

- Dziś już nie chciałaby twojego serca - powiedziała Wiele Pieśni melodyjnym głosem. Sara w

odpowiedzi uśmiechnęła się nieznacznie, kąciki ust czerwonych jak krew powędrowały do góry. I pstryknęła zapalniczką. Błękitny płomień pomknął ku wygasłej latarni, sprawiając, że rozjarzyła się bladym światłem. Wiele Pieśni wydała z siebie zdławiony okrzyk, rzuciła się do tyłu, skuliła w cieniu muru, przyciskając głowę owiniętą chustami do szarych kamieni, na których napisano farbą „Umarł król, niech żyje król”.

Woda pryskała spod butów Sary, jej wydłużony cień padł na drżącą postać.

- Wara ci od mojego serca - warknęła, pochylając się. Była dużo niższa od kobiety w czarnych szatach, wysokiej i chudej jak patyk, ale teraz to tamta kuliła się niby szczur przed magicznym światłem, którego nie umiała zgasić. - Bo kiedyś może się okazać, że Księżyc schodzi z nieba, latarnie nie wygasają na twój rozkaz, we wszystkich oknach rozbłyskują światła, a adepci magii z uniwersytetu wypełniają noc blaskiem barwnych ogni. I znajdę cię tej nocy, Wiele Pieśni, nocy jasnej jak dzień, a potem zmuszę, byś spojrzała w światło.

- Nie poważysz się - syknęła Wiele Pieśni, odczołgując się poza zasięg blasku, rzucanego przez błękitny płomień.

- Sama to powiedziałaś. Czasem posuwam się za daleko. A bardzo nie lubię, gdy ktoś sięga mego serca.

Pstryknięcie. Znów na uliczce zapadła ciemność, tylko gdzieś daleko jarzyły się blade punkciki, lampy na Plantach, i pomarańczowe światła, zapalone w nielicznych oknach mieszkań, w których pomimo późnej pory ktoś nie zamknął jeszcze powiek. Sara schowała zapalniczkę do kieszeni, podniosła nóż i starannie oczyściła go z krwi. Wiele Pieśni wstała, dostojna postać jakby utkana z cieni, sylwetka, na widok której w ciemnej bramie ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy, przyspieszają kroku.

Słaba i bezbronna w obliczu światła.

- Zostań jutro na zamku.

Nie brzmiało to jak rozkaz, raczej prośba, wymówiona zaskakująco potulnym tonem, niepasującym do Wiele Pieśni. Sara, która już miała zamiar odejść, zawahała się.

- Dlaczego?

- Zostań na zamku, Saro Weroniko Sokolska, Pierwsza Czarownico - powtórzyła Wiele Pieśni. - Nie opuszczaj go po zmroku. Noc zaśpiewa i nie będzie to radosna pieśń.

- Znam melodie nocy i umiem do nich tańczyć - odparła Sara po długim milczeniu. - Nie, nie obiecuję, że nie opuszczę zamku, choć nie na razie nigdzie się nie wybieram. Potrzebuję snu. Potrzebuję łóżka, odpoczynku i ciemności, w której nic się nie skrywa.

Odeszła, nie patrząc za siebie, kierując się ku głównym, jasno oświetlonym ulicom.

Deszcz bębnił o dachy kamienic, tworzył kałuże na chodnikach, uderzał w brukową kostkę. Minęła druga nad ranem, pozostały niemal trzy godziny do świtu, i Stare Miasto, za dnia tętniące życiem, teraz świeciło pustkami. Sara przemierzała uśpiony Kraków, skąpany w pomarańczowym, sztucznym świetle latarni, spoglądała w okna, szukając tych nielicznych, w których błyszcząły żarówki bądź ekrany telewizorów, świadczące o tym, że ktoś jeszcze nie śpi. W klubach, umiejscowionych w uliczkach odchodzących od Rynku, na pewno wciąż brzmiała muzyka, błyskały kolorowe reflektory, tłumy młodych ludzi szalały na parkietach. Samochody raz za razem przemierzały ulice, rozchlapując wodę z kałuż, taksówkarze o zmęczonych oczach czekali na klientów. Późną nocą miasto pogrążyło się w pozornym letargu, lecz niektóre jego części nigdy nie zasypiały do końca.

Czarownica usiadła przy fontannie, zrzuciła buty z obolałych stóp i pozbyła się skórzanej kurtki.

Pomimo późnej pory i deszczu panowała duchota jak podczas burzy, a Sara była rozgrzana i spocona od gorąca w podziemnej, klubowej sali, od szaleńczego tańca, alkoholu i adrenaliny. Zanurzyła dłonie w fontannie, zmywając z nich krew i przypatrując się kręgom, tworzonym na powierzchni wody przez spadające z nieba krople. Kręgi w kręgach. Własne, zamazane odbicie i plamy światła na wodzie.

Sztucznego światła, nigdy niewygasającego, niepozwalającego, by miasto pogrążyło się w ciemności.

Uniosła głowę, raczej wyczuwając czyjś wzrok niż słysząc kroki. Tajemniczy ktoś zatrzymał się po drugiej stronie fontanny, skrywając głowę pod ciemnym parasolem. Patrzył na nią. Może zastanawiał się, co tutaj robi, bosa, w czarnym podkoszulku i z dziwnym makijażem, samotna, w środku nocy. A

może ją rozpoznać – było coś znajomego w wysokiej sylwetce, w sięgających ramion złocistych włosach, które mogłyby należeć do kobiety. Pewnie spotkała tę osobę gdzieś na zamku lub podczas któregoś z nudnych przyjęć czy spotkań, na jakie ciągał ją ze sobą Julian, lecz nie zapamiętała ani imienia, ani stanowiska. Rzadko poświęcała wiele uwagi innym ludziom, niezainteresowana ich tożsamością jeśli ta wiedza nie była przydatna.

- Dziwna pora na spacer – powiedziała głośno. Mężczyzna drgnął, zrobił ruch, jakby chciał odejść. Sara wiedziała, że krąży o niej wiele plotek, że nazywają ją Piekielnicą. Nie zdziwiłaby się, gdyby ten ktoś wolał umknąć gdzie pieprz rośnie, zwłaszcza jeśli dostrzegł rdzawą plamę na policzku i zakrzepłą krew pod paznokciami.

- Nie znam polskiego – odparł w końcu po niemiecku. Obcokrajowiec, nikt, kogo widywałaby często, a więc miała prawo nie pamiętać imienia. Zapewne czyjś gość lub towarzysz jakiejś osobistości z RFN.

- Wspaniała pogoda na spacer – oznajmiła wesoło, płynnie przechodząc na niemiecki. – Jak podoba ci się Kraków nocą?

Stał i milczał. Sara przesunęła się, pochyliła, by dostrzec twarz. Gładko ogolone, zapadnięte policzki, usta i podbródek nie wywoływały żadnych skojarzeń, ale było coś znajomego w kształcie brwi i w jasnych oczach, którym blask latarni nadawał złocisty kolor.

- Idź do domu, dziecko – westchnął. Podeszedł bliżej, w dużej, zadbanej dłoni zaszeleścił banknot. Nie do końca trzeźwa czarownica z trudem powstrzymała śmiech. Mężczyzna prawdopodobnie był młodszy od niej, tymczasem wziął ją za nieletnią, może z powodu drobnej figury, a może stroju i rozmazanego makijażu. Nie rozpoznał w rozneglizowanej, przemoczonej do suchej nitki kobiecie Pierwszej Czarownicy Polanii.

Pozwoliła, by nagły podmuch wiatru porwał banknot, poniósł go ze sobą gdzieś, gdzie rozmoczy się w kałuży bądź zostanie odnaleziony przez jakiegoś szczęśliwca. Rozbawiona chwyciła pustą teraz rękę mężczyzny, w której jej dłoń niemalże ginęła.

- Uroczy gest, ale niepotrzebny – zaśmiała się, wstając, łapiąc go za drugą rękę. Czarny parasol o drewnianej rączce przekoziołkował po bruku, lśniącym od deszczu. – W tym mieście lepiej się nie litować, nie dawać pieniędzy, które przemienią się w alkohol bądź trafią do nocnego króla. Ci, którzy naprawdę nie mają na jedzenie, rzadko wyciągają na ulicy rękę po łaskę.

Patrzył na nią zdziwiony, próbując cofnąć dłonie, lecz Sara trzymała mocno. Jasne włosy, pozbawione ochrony parasola, szybko wilgotniały, zaczynały kleić się do czoła i szyi. Ciemna koszula przylgnęła do skóry. Jedwab, rozpoznała czarownica i to przywiodło jej na myśl Juliana, lubującego się w jedwabnych koszulach, równie wysokiego jak złotowłosego, choć znacznie szczuplejszego.

- Nocny król? – spytał w końcu, pewnie tylko po to, żeby coś powiedzieć.

- Pan żebraków, dziwek, przestępców i wielu, wielu innych. Wszystkich tych, którzy nie pasują do jasnej strony Krakowa – wyjaśniła. Nie wdając się w dalsze tłumaczenia i opowieści o tym, jak daleko sięgała władza nocnego króla, nim przejęła schedę po Jeremim i zaczęła robić porządki na własnym podwórku. – Zatańczmy.

Zaskoczony, pozwolił się pociągnąć, odruchowo dostosował kroki do ruchów Sary. Skinęła głową, wcale nie zdziwiona, że umiał tańczyć walca wiedeńskiego. U kogoś mówiącego po niemiecku i noszącego jedwabne koszule niezwykła byłaby raczej nieznamość podstawowych kroków.

- Dlaczego? – Przejął prowadzenie. Teraz to Sara podążała za jego krokami, woda przyskała spod nóg.

- Bo mam taką chęć – odparła czarownica, którą swojego czasu Julian bezskutecznie usiłował zmusić do tego, by porzuciła „te niemające nic wspólnego z prawdziwym tańcem małpie podskoki”, a zamiast tego wzięła parę lekcji i zaczęła „zachowywać się na przyjęciach jak należy”. W królewskiej głowie nie powstała myśl, że wiedźma umie tańczyć walca i wiele innych dworskich tańców. – A ja zawsze robię to, na co mam ochotę.

Tańczyła więc boso, z człowiekiem, którego imienia nie знаła, w deszczu, w świetle latarni, do muzyki rozbrzmiewającej tylko w jej głowie.